

MNIJ WIĘCEJ (107)



Foto: Zofia Mikula

Ballada, lament, zdumienie

Bogdan Loebł to poeta i prozaik, który obecny jest w naszym życiu literackim od 1956 roku. Wydał prawie 40 książek. Co prawda ma chyba więcej fanów muzycznych, bo ten odbiorca po prostu jest liczniejszy, a Loebł pisał teksty dla Włodzimierza Nahornego, Blackoutów, Breakoutów, Niebiesko-Czarnych, Dżemu, SBB, Krzysztofa Cugowskiego, Nocnej Zmiany Bluesa, Stana Borysa, De Mono, Grzegorza Markowskiego i innych... Jego bluesy odniosły karierę „kultową”. Jednak przez wszystkie te lata Loebł swojej literatury „książkowej” ani nie zdradził, ani nie zaniedbał.

LESZEK ŻULIŃSKI

Obecnie obserwujemy ożywienie wokół jego książek. Warszawska Grupa M-D-M zaczęła Loebła wznawiać i – co słuszne! – lansować. M.in. ukazała się kwadryga kresowa tego autora, czyli cztery powieści tworzące jakby jedno dzieło: *Złota trąbka*, *Piekło weszło do raj*, *Rzeka dzieciństwa* i *Kres moich kresów*. To proza historyczno-autobiograficzna – autor opisuje w niej własne wypędzenie z Kresów oraz gehennę wołyńską, która do dziś swoich dawnych świadków budzi ze snu z krzykiem. Piękna to proza, w której okrucieństwo historii unosi się w oparach magicznego oniryzmu i prozy poetyckiej.

Właśnie ledwo co prowadziłem w warszawskim Muzeum Niepodległości promocję tych książek i mam je „na świeżo” w głowie, której nie może od kilku dni opuścić Józio – bohater tego cyklu. Ale po spotkaniu Bogdan podarował mi inną, najnowszą swoją książkę pt. *Śpiąca jasnowłosa* i powiedział: przeczytaj to, to moja najlepsza książka! Jak to najlepsza? – zdziwiłem się sądząc, że po wyżej wspomnianych nic już lepszego napisać nie można. Wróciłem do domu i

przeczytałem... Pewną zachętą była rekomendacja Bohdana Zadury, który pisał, że ta niewielka powieść zawiera w sobie znakomity dar narracji z elementami metafizycznego thrillera (nawiasem mówiąc, miesięcznik „Twórczość” ostatnimi laty bardzo wspierał prozę Loebła, czemu bardzo kibicowałem).

Akcja *Jasnowłosej* zaczyna się i kończy w podkrakowskich Niepołomicach, gdzie zresztą autor mieszkał krótko dawnymi laty. Ale i w Warszawie, i w Krakowie... To powieść nieznośnie traumatyczna i cudownie surrealna. Już niemłody, ale jeszcze niezupełnie stary bohater wraca z podstołecznego Józefowa do Niepołomic i płacze się w swej drodze niczym Stefan Dedalus po Dublinie. Obszerną część tekstu spędza na warszawskim Dworcu Centralnym, potem w pociągu do Krakowa, potem na Cmentarzu Rakowickim, gdzie spoczywa jego zmarły braciśzek Stasio...

Ale najbardziej zagadkową postacią jest tu tajemnicza blondynka, którą bohater widzi najpierw na zdjęciu w niepołomickim zakładzie fotograficznym pana Słowika, a potem siedzi z nią w jednym z przedziałów pociągu wspomnianej już relacji. To może być zjawą, bowiem dziewczyna, będąc obcą, jakby nie objawia żadnych znaków życia. Jest, a jakoby jej wcale nie było... Mieszają się tu miejsca, ale także porządki, realia, sny, zwiady, żywi i martwi, „prawdziwi” i „halucynogeni” oraz tego typu ezoteryczne sytuacje: *Zalżawiona twarz dziewczyny z sąsiedniego grobu oddzieliła się od swojej fotografii i przyleciała do mnie bezgłośnie niczym sowa...* Coś somnambulicznego snuje się w tej powieści od początku do końca. Rzeczywistość wydaje się prosta, lecz dla bohatera stanowi absolutny, wypełniony obawami i niepokojem labirynt, w który my, czytelnicy, jesteśmy wciągani strona po stronie. W końcu bohater powieści z Krakowa peregrynuje do swoich rodzinnych Niepołomic, a więc kontynuuje swoją podróż w poszukiwaniu straconego czasu. I rzeczywiście: znajduje tam tylko gruzy własnej pamięci. Ale i w nieczynnym już zakładzie fotograficznym pana Słowika stare zdjęcie „śliznej jasnowłosej”. To była Karolina, która w czasie wojny zginęła, biorąc w dłonie porzucony w lesie granat. A potem latami wlokła się poprzez życie i majaki bohatera powieści...

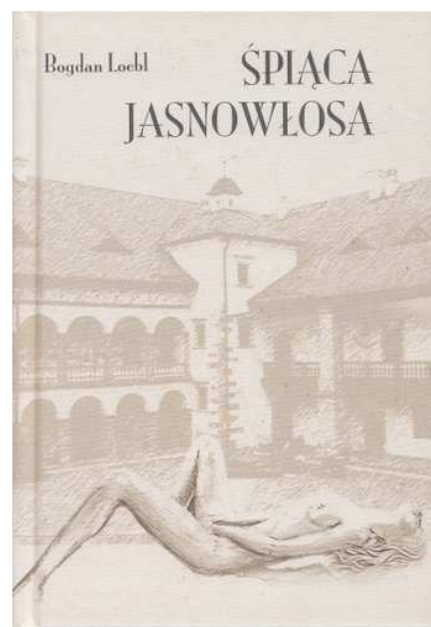
Piękna, niedorzeczna, bolesna, poplątana ballada o ranach, traumach i tęsknotach całego życia. Jest w tej książce coś z atmosfery prozy schulzowskiej i kafkowskiej. Jest plątanina czasu i niedorzeczności, które jednak mają zakorzenienie w realiach pamięci. Jest opowieść o życiu, które w pewnym momencie zaczyna płynąć już tylko do swoich źródeł, rozbijając o wykroty niezagojonych ran i niespełnień. Loebł staje się osobliwym przedstawicielem polskiej odmiany „realizmu magicznego”, bardzo mocno zatopionego w historii i w losie

zbiorowym. Równocześnie świetnie udało mu się narysować takie, rzekłbym „himilbachowskie”, klimaty Polski menelskiej, prowincjonalnej, pospolitej... Piękna, wspinała lektura!

I teraz pytanie: czy to rzeczywiście najlepsza książka Bogdana Loebła? Nie jestem tego taki pewny, ale nie chcę też tego negocjować. Mam inną teorię. Otóż to jest w dużej mierze osobliwe *pendant* do wspomnianej na początku tej recenzji kwadrygi kresowej. W *Śliznej jasnowłosej* przenosimy się do czasów powojennych, ale tylko po to, aby cofać się wraz z fabułą wstecz i wstecz. No i ten biografizm Loebła... Ten Józefów, Kraków, Niepołomicie... – to wszystko opowieść o własnej drodze.

Loebł pisząc powieści historyczne, bardziej jednak pisze powieści oniryczno-poetyckie, wysupłuje je z odległego dzieciństwa, z okrucieństw wspomnień i powidoków czasu utraconego. On wraca po swojej biograficznej nitce w głąb kłębaka, gdzie szuka jakiegoś własnego przeznaczenia. Czasami ociera się to o jakieś psychologiczne archetypy, ale – moim zdaniem – jeszcze bardziej o historiozofię własnego i swoich rodziców pokolenia. Bo Loebł opowiada czas historyczny. Sęk w tym, że od wielu lat umie przekuć go także na „czas egzystencjalny”, czyli opowiedzieć, ile spraw do końca niepojętych wszczepia w nas historia.

Jest w tej prozie ballada, jest lament, jest niepojęte, wciąż trwające zdumienie Losem. Ale jest także zapis świadka uwikłanego po latach w koszmary senne przebytego czasu.



Bogdan Loebł, „Śpiąca jasnowłosa”. Wydawnictwo Grupa M-D-M, Warszawa 2013, s. 148.

